O żwawym Radomirze, który prestiż dzięki swojemu talentowi zdobył

Jakiś półwiek temu po północno-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej krążył ogorzały kataryniarz, zabużański przesiedleniec. Nie zważając na aurę, na wprost przed siebie podążał. Latem kroczył po wyschniętych dróżkach, ścieżynkach oraz pólkach porośniętych żytem, chabrami i kąkolem. Z temperamentem zmierzał przez bezdroża najeżone jeżynami. Gdy nazbyt pogrążył się w palącym kurzu, szukał orzeźwienia w strużkach i źródłach srebrzących się wśród krwistoczerwonych jarzębin oraz kędzierzawych łopuchów. Jesienią mierzył się z rzęsistymi dżdżami i burzliwymi wietrzyskami hulającymi pośród dziko rosnących krzaków czeremchy, spróchniałych wierzb i brzóz. Podczas uprzykrzonej zimy śnieżne kurzawy oraz rozsrożony mróz służyły mu za druhów i sprzymierzeńców włóczęgi.

Niekiedy zupełnie przypadkowy dorożkarz podwiózł go nieodpłatnie, a to znów ochoczo hamowały przy nim podróżne sanie, zaprzężone bądź to w rozhukanego ogiera, bądź z kolei w podstarzałego wałacha. Prężny globtroter przykryty kupionym na wyprzedaży kożuchem akompaniował wówczas janczarom. Mrużył powieki i obserwował śnieżynki jarzące się niczym żagiew. Z zuchowatą radością śpiewał o jeziorze Świteź, o nowogródzkich kurhankach , o Mickiewiczowskich chartach, które z hartem czmychały w chruściane chaszcze oraz trudno dostępne ostępy.

Aż razu pewnego króciutko na jeża ostrzyżony poczmistrz przyniósł mu korespondencję w bladozielonej kopercie pachnącej miętą. To okrzyczany nieprzesadnie reżyser zaproponował kataryniarzowi korzystny obopólnie angaż. Ówże zabużanin z chęcią propozycję przyjął i niebawem stał się pierwszoplanową gwiazdą w teatrze. Wkrótce też świeżo poślubiona żona reżysera, krasnolica sokółczanka, nie mogąc oprzeć się żądzy swatania, przecudną narzeczoną kataryniarzowi znalazła. Nawet drużką na tym ślubie była. Bajarz zaś historię opisał i potomnym przekazał.

Urszula Sokólska - dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku.